

Nr 3

13 czerwca 2014
GnieznoRedaktor naczelny:
Mieszko CiesielskiRedaktorzy:
Marek Błaszczyk
Tomasz Błaszczyk

I N S T Y T U T U K U L T U R Y E U R O P E J S K I E J U A M

W NUMERZE: Alicja Węclawiak „Bajka dla trochę starszych dzieci” – opowiadanie, s. 1; Marek Błaszczyk „Mieszkanie” – esej, s. 9; Ewelina Szurgot-Prus „Elementy składowe tożsamości katalońskiej” – artykuł, s. 12.

Alicja Węclawiak (IK UAM)

Bajka dla trochę starszych dzieci

Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, za siedmioma zamkami... tak, zwłaszcza zamkami, żył sobie młody królewicz. Właściwie królewiczem tyleż samo był, co i nie był. Miał królestwo, nie miał jednak poddanych. Dworem jego były ruiny gotyckiego kościoła, a jedynym towarzyszem wielki i mądry, spokojny i miękki tygrys. Syberyjski. Białej maści. Bo królestwo się zowie Monochromachia. Najlepiej zachowała się dzwonnica, o strzelistej wieży, długich ostrych oknach, z wielkim mosiężnym dzwonem. Owa dzwonnica stanowiła i tak całkiem okazały pałac. Sala królewska mieściła się tuż pod. Stało w niej ogromne łoże. A po przeciwległej stronie tygrysie legowisko. Kilka wąskich okien, przez które z trudem przecisnąć można było głowę, ale to w niczym nie przeszkadzało, królewicz nie zwykł bowiem tego robić. Nie potrzebował słonecznego światła, wystarczały mu odbłaski igrające w jego komnacie, stworzone dzięki zwierciadłom, którymi wykute były wszystkie ściany, a nawet sufit. Zwierciadłom w przeważającej części krzywym oczywiście. Królewicz natomiast rządy swe sprawował wystrojony w czarne atlasowe szaty. Jediną barwą, jaką miał na sobie była purpura, w kolorze której przywdziewał paludamentum. Był młody i piękny, jak na królewicza przystało. W oczach jego odbijało się niebo, ilekroć tylko podchodził do okna. Wtedy wyglądały najładniej, ale on nie mógł tego zobaczyć, bo to był jedyny moment, w którym nie widział swojego lustrzanego odbicia. Miał wysokie, szlachetne, chłodne czoło i ładnie skrojone wargi, czego również nie mógł zobaczyć, gdyż zawsze były zaciśnięte. Jedyne w nocy, gdy spał, lekko się uchylały ukazując równe białe zęby. W zwierciadłach widział więc swoje zniekształcone oblicze. Puste, stalowe oczy, wąskie usta i szpetotę starego człowieka. Wierzył w to, co widział, więc zupełnie zapomniał, że jeszcze jest

dzieckiem. Coraz częściej pulsowały nocami żyły na jego szyi, coraz rzadziej wtulał się w miękkie futro śpiąc bosy na tygrysim legowisku. Częściej mrużył oczy, rzadziej zwilżał usta.

Każdego ranka po przebudzeniu sięgał po leżącą obok łoża koronę, dużą i ciężką, wykonaną z różanego srebra. Wyciągał jedwabną czarną chusteczkę i piecząłowicie polerował ją na błysk. Wówczas wkładał ją sobie na głowę, zakrywając hebanowe włosy, w których igrał blask zwierciadeł i, rzadziej, promienie słońca. Przechadzał się zadowolony po swej komnacie, w lustrach widząc jednak zmęczonego starego człowieka i nie zauważając utkwionych weń pytająco żółtych tygryszych ślepi. Korona jego ukochana, o którą z taką troską dbał, była jednak dla niego za ciasna i zbyt ciężka. Wzynała się w jasne jego czoło, tuż u nasady włosów, przez co całymi dniami bolała go głowa. A gdyby wieczorem, po jej zdjęciu, podszedł do któregoś ze swoich zwierciadeł i odgarnął z czoła swoje czarne włosy, dostrzegłby małe krwawiące ranki. Jak żył nasz królewicz? Według planu. Wstawał bladym świtem i czyścił swoją koronę. Zjadał śniadanie, dzielił się pokarmem ze swoim tygrysim towarzyszem. Przechadzał się po komnacie oglądając w lustrach swe odbicie. Później kładł się na łożu i patrzył sobie w oczy, długo, chcąc dojrzeć swą duszę i ją zrozumieć. Zwierciadło nad jego pościelą także było jednak zakrzywione. Następnie zamykał oczy, nie mógł bowiem znieść słonecznego blasku, który wpadał do jego pałacu i tańczył figlarnie po lustrzanych ścianach, na jego koronie i w gąszczu czarnych jego włosów. Wstawał dopiero, gdy zaczynało zmierzchać. Tak upływały mu dni. Chyba że padało. Wtedy siadał przy oknie i obserwował wiatr targający w oddali drzewa i z upodobaniem słuchał szumu deszczu. Szczególnie radowały go wielkie burze z piorunami.

Gdy było pogodnie i słonecznie, królewicz był smutny i znudzony. Niegdyś siadał wtedy przy oknie mimo to. Albo kładł się na legowisku przy swoim tygrysie. Ale to było dawno temu, kiedy był jeszcze mniejszy i nie zaciskał warg. Teraz dręczył go nie tyle smutek, ile gniew. Wychodził wówczas ze swojej komnaty i udawał się na górę dzwonnicy. Uwieszał się na długiej linie i z całej siły dzwonił, niekiedy godzinami, aż kompletnie ogłuchły wracał do siebie i wyczerpany padał na łożu nie zdejmując nawet korony. Pałac jego, stara, piękna gotycka dzwonnica, mieścił się przy krętej piaszczystej drodze. Przejeżdżały karety i dyliżanse, częściej jednak wieśniacy przechadzali się tamtędy, przechodząc od królestwa do królestwa w poszukiwaniu lepszego losu. W dni, w które królewicz kipiał gniewem, przechodząc koło jego posiadłości, zastanawiali się komu właściwie bije dzwon. Nie myśleli nad tym jednak długo, oddalając się w pośpiechu. Królewicz, kiedy nie był znudzony i rozgniewany, a jedynie znudzony, siadał czasem w oknie, z którego widział drogę, i w przechodzących wieśniaków boleśnie strzelał z procy. Z czasem nauczyli się oni tamtędy nie przechodzić, woleli nadkładać drogi i omijać szerokim łukiem jego królestwo.

Jego posiadłość mieściła się w wielkiej krainie, leżącej u zbrocza potężnej Cukrowej Góry. I to było najgorsze. Mimo, że dzwonnica królewicza stała na uboczu i daleko było do jakiegokolwiek sąsiada, kolorowi wieśniacy przechodzący nieopodal to niestety jeszcze nie wszystko. Królewicz nigdy nie odwiedził innych posiadłości, domyślał się jednak, że są barwne, głośne i roztańczone, przez co tym bardziej nie miał ochoty ruszać się poza swój pałac, będąc pewnym, że tylko tutaj szaleją wichury i burze, że tylko tutaj nie ma tęczowych drzew. Harców i barw domyślał się jednak nie bez przyczyny. Od czasu do czasu nawiedzały go bowiem straszne potwory. Jakimś cudem wtykały do jego komnaty głowy przez wąskie strzeliste okna, a on przerażony chował się pod swoim purpurowym płaszczem, a czasem nawet strzelał do nich z procy, choć to nigdy nie działało, potwory nie czuły wcale bólu i jedynym ratunkiem było poczekać aż znudzą się i odejdą. Strzelał jednak, żeby nie myślały, że jest pozbawiony uzbrojenia i amunicji. Dla zasady. Kim były te potwory? Były to straszliwe smoki, wielkie tak bardzo, że przerastały dzwonnice, całe z pluszu i kolorowe. Miały przerażające błyszczące oczy i naprawdę straszne, poczciwe roześmiane pyski. Przynosiły ze sobą muzykę dzwonek i tamburynów, a kiedy się zjawiały, wielkimi nozdrzami wdmuchiwały królewiczowi do komnaty napawające trwogą różowe słodkie chmurki pachnące truskawkami i lemoniadą.

Królewicz miał też sekret. Wielki i pilnie strzeżony. Chodziło o jego ogród. Ogród był ogromny i przedstawiał naprawdę piękny widok. Czarna, dymiąca ziemia, połamane kwiaty, spopielone drzewa. Grasujące wśród nich złowrogo kraczące wrony. Królewicz bowiem pewnego dnia, kiedy dzwon nie ulżył jego znudzeniu, postanowił ogród spalić. Rzucił więc nań płonące polano i wywołał majestatyczny pożar. Stał w oknie, w swojej błyszczącej koronie, piękny w purpurowym płaszczu i podziwiał swoje dzieło. Ziemia nadal dymi, płonie bowiem od wewnątrz, pożar nigdy nie został ugaszony. Królewicz nie wychodzi więc do ogrodu. Nie ma po prostu dokąd wyjść. Lecz nie to jest tajemnicą. Na swej smukłej, bladej szyi, nosi na złotym łańcuszku mosiężny klucz. Nie zdejmuje go nawet do spania. Ukryty pod atłasową koszulą niewidoczny jest dla nikogo, nawet dla niego samego. Klucz otwiera furtkę do tej części ogrodu, która nie spłonęła, odgradzona była bowiem od reszty wysokim kamiennym murem. Ten ocalały wycinek znajduje się dokładnie pośrodku całej Monochromachii. Czasem, niezwykle rzadko, królewicz zdejmuje swój złoty łańcuszek i ściskając klucz w smukłych, drżących dłoniach udaje się tam, w absolutnej tajemnicy przed sobą samym. Otwiera zardzewiałą furtkę i niepewnym krokiem wchodzi do środka. Zatrzymuje się na kilka chwil, po czym zaklucza za sobą wrota. Siada na soczystej trawie i rozgląda się dookoła wielkimi, błękitnymi oczami. Co widzi? Widzi zielone drzewa uginające się pod ciężarem owoców, latające wśród ich koron barwne rajskie ptaki, zachodzące, pomarańczowe słońce i pomost nad jeziorem. Po pomoście biegają roześmiane dzieci, a w jeziorze igrają nagie,

smukłe, długowłose nimfy, uśmiechając się do niego nieśmiało. Królewicz kładzie się na trawie, spogląda w przepływające nad nim obłoki, wsłuchuje się w śpiew rajskich ptaków, dziecięce okrzyki i dźwięczny śmiech rusałek. Wychodzi stamtąd dopiero późną nocą, kiedy gasną już wszystkie gwiazdy, zawstydzony i smutny. Nazajutrz zawiesza sobie klucz na szyi i znów skrzętnie chowa go pod czernią atlasowej koszuli na długie miesiące. Tak właśnie panował w Monochromachii nasz królewicz. I na tym opowieść mogłaby się skończyć, bo i tu można już znaleźć morał. Ale to dopiero początek. Wszystko bowiem toczyło się swoim niezmiennym rytmem do czasu. Pewnego pochmurnego poranka królewicz, zaraz po przebudzeniu, przed drzwiami swojej komnaty dostrzegł jakiś przedmiot. Zaciekawiony podszedł niepewnie, schylił się i podniósł niewielką lampkę, wykonaną, podobnie jak jego korona – z różanego srebra. Zdziwiony usiadł na łożu i zaczął oglądać ją z każdej strony, znów nie dostrzegając wbitych weń podejrzenie żółtych tygrysich ślepi. Królewicz bardzo lubił takie przedmioty. Kiedyś mu się bowiem przyśniło, że wetknął do jego komnaty głowę smok inny niż wszystkie. Czarny i dostojny. Królewicz był wtedy jeszcze małym chłopcem i prawie tego nie pamiętał, ale to ten smok podarował mu jego piękną koronę. Tak mu się przynajmniej wydawało. Ucieszył się więc z lampy i jako, że była zakurzona, wyjął swą jedwabną chusteczkę i zaczął ją polerować. Jakież było jego zdziwienie, kiedy z lampy wyfrunął niebieski zakolczykowany stwór.

– Dżin! – wykrzyknął królewicz.

– Brawo, bystrzaku. Czego sobie życzysz? – spytał dżin.

– Czego JA sobie życzę? – oburzył się królewicz – To ty wtargnąłeś mi do domu i to w dodatku tak podstępnie! To niegodne z twojej strony, dżiny tak nie robią!

– Oo – zdziwił się dżin – a kto ci to niby powiedział? Nigdzie nie wtargnąłem, to po pierwsze, krnąbrny młodzieniaszku. Po drugie, skoro jesteś taki mądry to czy nie wiesz, że dżiny zawsze wyfruwają gdy potrzebie się lampę? Masz poważne braki w edukacji, mój drogi. A po trzecie nie rozumiem czemu się na mnie wydzierasz, skoro jestem tu dla twojego dobra.

– Dla mojego dobra?! – wrzasnął królewicz. – Dobre sobie! Wiesz co? Mam to w nosie. Powiedz mi jak cię umieścić z powrotem w tej nieszczęsnej lampie, bo nie chce mi się dłużej z tobą gadać.

– Co za maniery! Nie chcesz więc, żebym spełnił twoje życzenie – spytał dżin.

– Oczywiście, że nie chcę – odparł królewicz. – Wracaj skąd przyszedłeś i daj mi święty spokój.

– To oburzające! Pierwszy raz w dziejach świata zdarzyło się, żeby ktoś pokłócił się z dżinem! – krzyczał zdruzgotany dżin.

– Słuchaj no, wleziesz do tej cholерnej lampy czy nie?! – zniecierpliwiał się królewicz.

– Wleżę kiedy zechcę, nie zmusisz mnie – odparł dzin.

– Czyżby?! – zapytał królewicz po czym podszedł do okna i z całych sił cisnął lampę przed siebie trafiając przy tym w głowę przechodzącego drogą wieśniaka. – Wydajesz się zdziwiony – oznajmił właśnie wyfruwającemu przez okno z szaleńczą prędkością dzinowi. – I bardzo dobrze – skwitował, po czym poszedł po procę i do wieczora siedział w oknie strzelając do wieśniaków. Musiał bowiem odreagować. Nazajutrz wszystko wróciło do normy. Królewicz uznał minioną sytuację za jednorazowy incydent, który zaistniał w wyniku jakiejś pomyłki i który się już nigdy nie powtórzy. Był jednak w błędzie. Kilka dni później, kiedy wracał akurat do swej komnaty po kilkugodzinnym wiszeniu na sznurze dzwona dostrzegł stojącą na parapecie szklaną kulę, w której pływała złota rybka. Stał jak wryty. Połączył obie te sprawy i uznał, iż bezsprzecznie padł ofiarą jakiegoś spisku. Wreszcie podszedł do okna, kucnął i jał przyglądać się rybce, która pływała w kuli wesoło machając ogonem i wywołując przy tym złote odblaski. Wreszcie zatrzymała się i spojrzała czarnymi rezolutnymi oczkami wprost na królewicza. „Nie, tylko nie to. Oby tylko nie zaczęła do mnie gadać”, pomyślał. Rybka wypuściła kilka bąbelków po czym zamachała płetwą – Cześć królewiczu! – powiedziała.

– Nie mów do mnie – odpowiedział królewicz.

– Jak to, przecież jestem złotą rybką! – oburzyła się rybka.

– Nie obchodzi mnie jaki masz kolor, możesz być złota, szara albo zgniłozielona. Ryby nie mają głosu, nie wiesz o tym? – spytał królewicz.

– Ale tylko w świecie dorosłych – broniła się rybka.

– Ja właśnie jestem dorosły. Jestem bardzo dorosły, a dorosłych się słucha, więc zamilcz, bo inaczej marnie skończysz – ostrzegł królewicz.

– Ale jestem złotą rybką i spełnię twoje trzy życzenia! – krzyczała rybka.

– Mam jedno życzenie – zamilcz. Zamilcz, a cię zatrzymam i nic złego się nie stanie – próbował załagodzić sytuację królewicz.

– Nie mogę spełnić takiego życzenia, ono musi być pozytywne, nie może czegokolwiek zabraniać, zwłaszcza mi, która to życzenie spełniam i...

– Posłuchaj. Ostrzegam cię po raz ostatni – zamknij się, bo ja sobie niczego nie życzę. Rozumiemy się? – Królewicz brzmiał coraz groźniej.

– Nie mogę, moim zadaniem jest spełnianie życzeń, zrozum to! – wołała rybka.

– Dobra, widzę, że się nie dogadamy – stwierdził królewicz, po czym wstał, wziął szklaną kulę w dłoń i ruszył do drzwi.

– Dokąd mnie niesiesz? – pytała zaniepokojona rybka. Królewicz nic już nie powiedział.

Wszedł do łazienki, także całej w lustrach, otworzył sedes i wylał całą zawartość szklanej kuli do muszli.

– Ale zaczekaj! Nie możesz tego zrobić, nie możesz... – w tym momencie król wicz nacisnął spłuczkę. Kulę odstawił i wrócił do swojej komnaty.

– Ostrzegałem – powiedział na głos, jakby sam przed sobą się tłumacząc. Znów bowiem nie dostrzegł zaciekawionego tygrysięgo spojrzenia.

Wiedział już jednak, że to nie koniec. Chciał żeby to był koniec, bo chciał mieć święty spokój. Nikogo poza tygrysem nie tolerował. Wyobrażał sobie jednak, co jeszcze mogłoby się wydarzyć i co by wtedy zrobił. Chciał, żeby coś się stało i w swoich fantazjach tworzył rozmaite na ten temat scenariusze. W żadnym z nich nie było jednak nic w stylu latających lamp czy złotych rybek spłukanych w klozecie. Fantazje były całkiem wesołe. Przeraziło go to tak bardzo, że przestał nawet myśleć o kluczu na szyi, a co dopiero o tym, żeby pójść do ogrodu. Przestał też sypiać nocami. Wreszcie stało się. Ani rano, ani wieczorem, a w środku dnia. Król wicz dostał prawie zawału, pierwszy bowiem raz w życiu usłyszał pukanie do drzwi. Cały zadrżał i aż prawie podskoczył. Z kołaczącym sercem podszedł do drzwi. Zimną dłonią chwycił za klamkę, nacisnął.

– Dzień dobry – usłyszał miły kobiecy głos. Uchylił drzwi szerzej. W progu stała niewysoka kobieta w długiej błękitnej sukni i jakiejś dziwacznej czapce. Była starsza od niego, ale nie bardzo stara. Świdrowała go zielonym spojrzeniem i uśmiechała się radośnie. Nic nie powiedział.

– Jak się miewasz? – spytała kobieta.

– Co to są za... dziwne pytania – zachnął się król wicz. – Kim w ogóle pani jest, co pani tu robi i po co pani do mnie przysłała? To jakaś pomyłka, zaręczam.

– To nie jest pomyłka, a pytania nie są dziwne. Poza tym – to dopiero pierwsze pytanie. Jestem dobrą wróżką - wyjaśniła uprzejmie.

– Oooo niieeeee! – krzyknął król wicz. – Proszę, niech pani sobie idzie. Naprawdę, pomyliła pani drzwi i...

– Niczego nie pomyliłam. Do ciebie miałam przyjść. Przecież na mnie czekałeś. – oznajmiła wróżka.

– Ja? – zapytał zdziwiony król wicz. – Proszę pani, ja nie czekałem ani na panią, ani na nikogo innego, bo ja w ogóle na nic nie czekam i... Nieważne. W każdym razie – nie zamawiałem pani. Proszę odejść.

– Nie odejdę, nim ze mną nie porozmawiasz – uparła się wróżka.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Kto tu w ogóle panią przysłał? – zainteresował się król wicz.

– Nikt mnie nie przysłał. Sama przybyłam, bo na mnie czekałeś – odparła wróżka.

– Mówiłem już, że ja nie...

– Nie? A wczoraj w nocy? A tydzień temu? – spytała wróżka.

– Co też pani wygaduje! Nocami śpię! – krzyczał oburzony królewicz.

– Akurat! – prychnęła wróżka.

– Nie no, za wiele tego. Zaczyna mnie pani denerwować. Proszę sobie iść, bo będę musiał użyć siły – ostrzegł królewicz.

– Grozisz mi? Dobrej wróżce? – niedowierzała wróżka. Królewicz wymierzył w nią swoje rozgniewane spojrzenie po czym z całych sił zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Próbował się uspokoić. Pukanie rozległo się na nowo. „Nieważne”, pomyślał. Stukot jednak nie ustawał. Królewicz dobiegł do drzwi, otworzył je gwałtownie, chwycił wróżkę za kołnierz i jął sprowadzać z kamiennych krętych schodów, prowadzących do jego komnaty.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczała zaskoczona wróżka.

– Mówiłem pani, żeby pani stąd spadała. Niech się pani cieszy, że nie zepchnąłem pani ze schodów! – cedził przez zęby królewicz. Wywlekł wróżkę przed bramę, wypchnął przez próg, tak że się potknęła i prawie przewróciła, po czym zatrzasnął zamek i wbiegł po schodach do góry krzyżąc – no nie wierzę!!! Nie zatrzymał się przed drzwiami komnaty, wbiegł na górę dzwonnicy, uwiesił się na linie i szaleńczo dzwonił aż do późnej nocy. Wyczerpany nie zdążył już nawet zejść na dół do swojego łóżka. Osunął się na podłogę i zasnął.

Nazajutrz obudziły go promienie słońca wpadające przez okna dzwonnicy. Królewicz usiadł, zdezorientowany i jął się rozglądać dookoła. Nie mógł sobie bowiem przypomnieć gdzie jest ani jak się tu znalazł. Spojrzał na dzwon, później na swoje drżące poranione dłonie i wszystko ułożyło mu się w całość. Już chciał wstać i zejść na dół do siebie, kiedy zorientował się, że nie ma na sobie swojego płaszcza. Ani korony! Przerażony chwycił się za szyję w poszukiwaniu złotego łańcuszka. Jego też nie było! Ktoś tu był w nocy i zabrał mu jego atrybuty, a co gorsza odkrył największy jego sekret! Co teraz? Królewicz przerażony, blady jeszcze bardziej niż zwykle i cały zlany potem zaczął chodzić w kółko usiłując zebrać myśli. W pewnym momencie potknął się o własne nogi i usiłując nie stracić równowagi złapał za zwisający sznur. Gong dzwona przestraszył go i ogłuszył. Przestraszył dlatego, że jeśli ktoś jest w jego komnacie, wie, że już nie śpi. Nie ma rady. Musi zejść na dół. Zaczął więc ostrożnie schodzić ze schodów. Zatrzymał się przed drzwiami swojej sali królewskiej, wziął głęboki wdech i pewnym krokiem wmaszerował do środka. Doznał szoku. Na ścianach nie było żadnych lusterek. Zniknęły też te z sufitu. Jedyne zwierciadło, jakie znajdowało się w pomieszczeniu wisiało na ścianie, pod którą stało jego łóżko. Którego oczywiście nie było. Nie było też tygrysa, a na jego legowisku, na purpurowym płaszczu siedział sobie

beztrosko długowłosy młodzieniec, obracał w dłoniach koronę i zadziornie patrzył w oczy królewicza uśmiechając się przy tym bezczelnie.

– Chodź chodź! – zachęcił. Oniemiały królewicz podszedł bliżej. – Nazywam się Pirouette – przedstawił się młodzieniec i wyciągnął w stronę królewicza swoją prawicę. Królewicz podał mu dłoń.

– Uuu.. widzę, że miałeś pracowity dzień – zagaił Pirouette widząc rany. Zdumiony królewicz nie był nawet w stanie się odezwać. Przyglądał się młodzieńcowi, wyglądającemu zupełnie inaczej niż widywani przez okno wieśniacy. Pirouette miał długie jasne włosy, jasne pasiaste ubranie i jasnozielone, prawie żółte oczy. W pewnym momencie podszedł do okna i beztrosko cisnął z niego koronę. Ta poszybowała w dal, zawisła na ułamek sekundy w powietrzu, po czym spadła na sam środek dymiącego pogorzelska.

– Co ty wyprawiasz? – słabym głosem spytał królewicz, podczas gdy Pirouette to samo zrobił z purpurowym płaszczem. Młodzieniec śmiał się w głos, a królewicz z niedowierzaniem patrzył jak zarówno jego paludamentum jak i korona kurczą się w ogniu jak foliowy papierek po cukierku.

– Tego się nie spodziewałeś, co? – spytał. – Pokażę ci coś jeszcze, chodź – oznajmił i pociągnął królewicza za rękę pod ścianę ze zwierciadłem. Nie było krzywe. Królewicz zobaczył swoje jasne gładkie czoło, uchylone ze zdumienia usta i błękitne oczy. Wyciągnął przed siebie dłoń, obejrzał je, po czym zaczął na oślep dotykać się po całym ciele, upewniając się, że w lustrze widzi naprawdę samego siebie.

– No, to teraz wszystko już wiesz – stwierdził długowłosy młodzieniec. – Chodź, idziemy stąd.

– Dokąd? – spytał królewicz, zaskoczony już nie całą tą sytuacją, ile swoim spokojem i dobrym nastrojem.

– Do ogrodu.

Zeszli razem do ogrodu, otworzyli zardzewiałą furtkę. Przysiedli na soczystej trawie.

– Ładna ta twoja tajemnica – powiedział Pirouette.

– Wiem – odparł ku swojemu zaskoczeniu królewicz.

W ogrodzie nie zabawili długo, młodzieniec pospieszał królewicza. Wreszcie wyszli.

– Zostawimy otwartą furtkę – zarządził Pirouette po czym ruszył przodem przez popioły i zgliszcza. Królewicz spokojnie i bez słowa maszerował za nim. Wyszli na piaszczystą drogę. Gdy się odwrócili nie było ani pogorzelska, ani muru, ani strzelistej dzwonnicy. W tym miejscu roztaczała się teraz ładna, ale całkiem zwyczajna łąka. Łąka, jakich spotyka się setki w każdej krainie.

– Dokąd idziemy? – spytał królewicz. - Ot, przed siebie. Muszę ci wiele pokazać. Przecież ty jeszcze niczego nie widziałeś – odparł młodzieniec.

– No tak. Powiedz mi – jak to wszystko się stało? Dlaczego nocą zabrałeś mi koronę i lustro, dlaczego wszystko zmieniłeś, a ja się o to nie gniewam, dlaczego wszedłeś do mojej komnaty niepytany i...? – dopytywał zaciekawiony królewicz.

– No bo jakbym spytał, to byś mnie pewnie zepchnął ze schodów. Nie wpuściłbyś mnie, gdybym zapukał.

Wędrowali razem przez całą krainę, weszli też na Cukrową Górę. Nigdzie nie spotkali roztańczonych ludzi ani tęczy drzew. Natknęli się za to na kilka wichur i parę burz z piorunami. Wszystko było takie samo jak w Monochromachii tylko widziane od wewnątrz. Co ciekawe – nigdzie nie było też pluszowych smoków. Królewicz wprawdzie o nie dopytywał, ale młodzieniec w odpowiedzi uśmiechał się tylko tajemniczo patrząc zuchwale wprost w szeroko otwarte oczy królewicza, w których odbijał się błękit nieba.

* * *

Marek Błaszczyk (IK UAM)

Mieszkanie

*Powiedzieć o czymś, co jest, że jest, jest prawdą.
Ale jak powiedzieć prawdziwie o czymś, co jest, że nie ma?*

Nie wiadomo dlaczego zamieszkiwanie, trzeba przyznać, w miejscu spokojnym i z dużym potencjałem, zapewne nie uchodzi za powszechne. Przynajmniej tak się zdaje.

Ludzie, nieustannie naprzód młodzieńczym podążając krokiem, koncentrują się tu przeważnie wokół centralnego placu, na którym słuchają przemów swoich duchowych przewodników, jak sami mówią, arcy-mistrzów. Bezkrytyczni w swej naiwności, wierzą im do tego stopnia, iż nierzadko zdarza im się zapomnieć cel, w którym przybyli.

W tej części miasta, paradoksalnie, wszystko dzieje się i zachodzi w sposób zupełnie dobrowolny, bez przymusu, choć pozorność, która mogłaby wydawać się czymś odrażającym z punktu widzenia człowieka z zewnątrz, nie wydaje się tu czymś ani przerażającym, ani

zagadkowym. Wszystko toczy się własnym rytmem, jest jasne i wyraźne o tyle, o ile nie zostanie zakłócone. A zakłócenia występują rzadko.

Władze usilnie dbają o to, by już w zarodku powstrzymać wszelkie przejawy samoświadomości podmiotu (właśnie, podmiotu, a termin ten stracił już swą ontyczną jakość), stąd próby samodzielnego myślenia, autonomizacji poznania i orzekania są wysoko karane. Sposób myślenia jest tu bowiem z góry narzucony i, można powiedzieć, z premedytacją zaplanowany jako nieobowiązkowa praktyka. Nieodzowną pomoc w procesie utrzymywania porządku społecznego stanowi sam fundator i wieloletni przywódca zwierzchni, zwany także generałem, oraz dobór wysoko wykwalifikowanych służb specjalnych o najsilniejszym wpływie oddziaływania. Nowych kapłanów, jak się ich często określa. Są oni uznani jako fachowcy, światowej klasy eksperci od przeszłości i przyszłości, stąd świetnie dają sobie radę, sprawując pieczę także wówczas, gdy w pobliżu nie ma ich bezpośredniego przełożonego. Bardzo zapracowanego służbisty.

Codziennosc przebiega tu nad wyraz szaro. Przychodzi się na osiem godzin pracy, potem fajrant, o ile szef nie zarządzi inaczej. W normalnym rytmie cotygodniowe dyżury nie przeszkadzają niczym gawędom o zieleni, gdy czerwień straci już na aktualności. Kierując się pośpiesznym krokiem ku bramom, *zapięci szczerze* eksperci oczekują powrotu twarzy kolejnego dnia. Co do reszty, ich praca rzadko bywa doceniana, własne inicjatywy krytykowane, a bezsensowne zlecenia przełożonych i przyprzężonych usilnie przedkładane jako odpowiednie. Ale oficjalnie władza nic od nikogo nie chce, przyjmuje przychodzących i wypuszcza wychodzących. Słowem, wszystko wykracza nieco poza zwyczajność.

Pewnego razu wydarzył się niecodzienny przypadek zaiste. Chciano zakłócić porządek codziennego dnia, przysłużyć się czymś twórczym i, obiektywnie patrząc, prawdziwie szczerym. Tak, to był naprawdę dobry pomysł, wydawałoby się, z czystymi intencjami podjęty, ale, jak się szybko okazało, nie pasował w żaden sposób do całego wprzód ustawionego planu. Ekspert zawsze znajdzie swoją prawdę, a w tym przypadku było nią zburzenie harmonii wiecznego kosmosu. Głoszona tu wolność, tak, przede wszystkim ona, wzniosłe ideały i marzenia, jakże się o nich wyklada pięknie, aliści lepiej czasami, by jednak do głosu nie doszły, nie psując ogólnego błógiego spokoju. Tak mówią i czynią w większości. A złamać tę jasność widzenia, jako punkt jeden, nie poprzestając na nauce płynącej z tych murów, czym trudniej, to nic za nimi zaznaczyć, to wszystko za nimi zacząć, tam trudniej.

Tak, to wszystko już było, to nowością nie grzeszy i aktualnością, to niemodne i spoza, nie piszą już nigdzie w takich kategoriach, innymi myślą myślami zaiste, głos służb specjalnych jak echo uderza, jak przyprzężoną brzytwą ducha skrzydła rozcinając. To godne poprawek, to zaś źle i nie tak, niedopuszczalne wszystko i do zmiany, brzmi dalej. Tak, to tylko rady i motywacje, by

wpisać się w pełni w powszechność naszą i zagościć w progach wieczystej wolności. Takie procedury, kultury zezwoleń forma. Tu wszystko jest oczywiste, bez zakłóceń, jasne i wyraźne, jako pole realizacji twórczych zamierzeń wzniosłych. Wolność, tak, ale ethos nakazuje przejrzeć jej utwory, by nie płynęły za daleko od brzegu, by myśl nie myślała nad miarę swoją i czas. Tu można nauczyć się właściwie być, być wolnym i sobą bez reszty, tu nie ma się o co troskać, o co lękać, żadne nie występują odpowiedzialności trudy. I można czuć się swobodnie, a będąc u siebie, przynależać do zacnych komnat, piwnic i strychów. Wszystko, co nie było do tej pory, brać można jako wartość, uczynić można za prawdę.

Tyle wieków budowano to miejsce, by teraz patrzeć, i cieszyć się, i radować. Dokonano dzieła, które, być może, wydawało się niemożliwe. Ale pilnie starano się je ukończyć, by podtrzymać przeświadczenie o powszechnym sukcesie. Tak, takiej kapłan naucza wolności, takiej pragnie z przyrodzenia tłum, i władza, admirały i strażnicy. I nie ma już tedy istot istniejących pytań, nie ma twórczych dążeń myśli, ni frasunków. Jest uznanie.

Zadbane w szczegółach, by pokłonić się w uznaniu, by wszyscy to czynili, by sławić to miejsce i naukę, która z niego płynie. Podziwiać i polecać władzy autorytet, bać się zarazem gniewnego spojrzenia, które w swej wymowie niewinnie nakazuje zredukować przecinki myślenia i kropki, zleca myśl na miarę czasu tego jako wartość najwyższą naówczas. I nie trzeba już szukać niczego wyższego, niczego więcej i gdzie indziej, wszystko gotowe i dane, nic spoza świata tego. Wystarczy poddać się władzy i zrządzeniom losu, tak, to szczęście właśnie.

Znać radości przyprzężonych, które rzuca, gdy zechcą, przyjemności, które zapełniają wolny czas, znać ich litość i łaskawość, i gniew, gdy zapragną pozycję umocnić, wyżej się i lepiej poczuć, gdy zapragną podnieść swe o sobie mniemania i sądy. Na znak czynić to, co zechcą, poprawiać bez końca, co zadane i zleczone. Zagłuszyć ciszę, która skłania do myślenia, która do przemyśleń niebezpiecznych nastraja. Pracować wytrwale z nakazem milczenia, w sprawach mniej i bardziej ważnych, wolni od odpowiedzialności, którą wezmą na siebie za myśl każdą. I pozwolą, tak, na twórczość, by nie myśleć o nich źle, by ich sławić i ubóstwiać, by im cześć należną oddać, by dać upust swej krytyce, kontestować, kwestionować, by zaprzeczyć i się wyprzeć, by ich autorytet rósł. I przyzwolą na mówienie, tak, tego tylko, co niezbędne, po co więcej, by nie było już podejrzeń, buntu cieni. I zadziwią tym, co zadziwia rzeczywiście i naprawdę, by powziąć wszystko, co od nich nie pochodzi samych, co może im zagrozić, by zdjąć wreszcie z milczenia ciężar myśli.

Symfonia kosmicznego szczęścia i wieczystej wolności tu dopiero otwiera swe horyzonty. Wszystko, co zadane i wprzód ustalone, jasne i wyraźne, oczywiste i prawdziwe, zdaje się być błogim spokojem, krainą płasów i uciech, politowania godnym i obrzydliwie nędznym. W przekonaniu o wielkości i dumie owego porządku, owej harmonii widzialnych i niewidzialnych

sfer, jak na spowiedzi echo odbija poziomy myśli i dążeń, które zostały. Tak, wolność, która nie pyta o formę, szczęście wolne od pytań wydaje się najśodsze.

* * *

Ewelina Szurgot-Prus (IKE UAM)

Elementy składowe tożsamości katalońskiej

Podstawą istnienia Katalonii jest świadomość narodowa Katalończyków. Odczuwają oni silne przywiązanie do swego narodu. Kultywują te same tradycje. Mieszkają na wspólnym terytorium i utożsamiają się z jednakimi dziejami historycznymi. Integruje ich ten sam język. Języka katalońskiego, według tamtejszego urzędu statystycznego, używa około siedem tysięcy ludzi (dane z roku 2007)¹. Należy on do rodziny języków romańskich. Dzieli się na dwie grupy dialektów: wschodnie (dialekt centralny – okolice Barcelony; balearski, roussilloński – Francja; algierski – Sardynia) i zachodnie (dialekt leridański – prowincja Lerida; walencki – okolice Walencji). Jego gramatyka wykazuje podobieństwo zarówno do języka francuskiego, jak i hiszpańskiego. Wiadomo również, że „rodzime słownictwo katalońskie często nawiązuje nie tylko do hiszpańskiego, ale też do prowansalskiego i francuskiego”². Nie zawsze jest łatwo odróżnić zapożyczenia z prowansalskiego od rodzimych wyrazów katalońskich. W katalońskim jest kilka wyrazów pochodzenia łacińskiego nieznanymi reszcie Romanii³. Na uwagę zasługuje wreszcie wpływ arabski przejawiający się w najrozmaitszych dziedzinach słownictwa⁴. Witold Mańczak, teoretyk zajmujący się językami romańskimi, zwraca uwagę na fakt, iż na terenie ówczesnej (XI – XII wiecznej) Katalonii istniało osadnictwo prowansalskie, a swe klasztory zakładali prowansalscy benedyktyni, co mogło „zaowocować” zapożyczeniami z ich rodzimego języka. Jednak sam autor pisze, że dziś język kataloński jest bliższy językowi hiszpańskiemu, a „najstarszym zabytkiem

¹ <http://www.idescat.cat/dequavi/?TC=444&V0=15&V1=1> (20.12.2010).

² Przykłady: kat. *parlar* – fr. *parler* (ale hiszp. *hablar*) – pol. mówić; kat. *trobar*, fr. *trouver* (ale hiszp. *hallar*) – pol. znaleźć; kat. *bullir*, fr. *bouillir* (ale hiszp. *hervir*) – pol. gotować się.

³ Przykłady: *congriar* = *congregare*; *conjuminar* = *congeminare*; *allau* = labem; *vora* = *oram*; *rebutjar* = *repudiare*; *desar* = *densare*; *flix* = *flexum*.

⁴ Przykłady: *gerra* – dzban, *alferis* – chorąży, *catifa* – dywan itp.

W. Mańczak, *Języki romańskie*, [w:] *Języki indoeuropejskie*, t. 2, pod red. L. Bednarczuka, Warszawa, 1988, s. 594.

języka katalońskiego są kazania z Organya, pochodzące z przełomu XII i XIII wieku”⁵. W manuskrypcie tym znajdują się kazania, które powinny być wygłaszane każdego roku z okazji największych świąt kościelnych⁶.

Do głównych wyznaczników tożsamości katalońskiej należą także symbole narodowe. Jednym z nich jest hymn kataloński. Nosi on tytuł *Els Segadors*, co oznacza: „Żniwiarze”. Został utworzony w 1640 roku w związku z antyhiszpańskim powstaniem Katalończyków⁷. Wybuchło ono w wyniku jednej z prób utworzenia odrębnego państwa. Znana dzisiaj wersja hymnu została ostatecznie zmodyfikowana przez Emili Guanyavents w 1899 roku. Współczesny podkład muzyczny skomponował Francesc Alió. Od roku 2006 *Els Segadors* znajduje się w statucie autonomicznym Katalonii⁸. Słowa hymnu wydają się nasuwać jednoznaczny interpretację⁹. Wyrażają chęć zwycięstwa, odzyskania pełnego szczęścia i (jak można się domyślać) odrębności od Hiszpanii. Emanują wrogością w stosunku do ludzi nieprzychylnych niepodległości Katalonii. Podkreślają, że ludzie wypowiadający je stają w obronie swej ziemi. Chcą być przygotowani na każdą możliwą walkę wyzwolenczą. Współczesny hymn, choć jest skróconą wersją oryginału, dobitnie wyraża postawę Katalończyków.

Symbolem narodowym jest także flaga katalońska. Jej powstanie, zgodnie z legendą, wiąże się z osobą Wilfreda Włochatego, który był hrabią katalońskim w IX wieku: „Gdy hrabia wilfred został w 897 roku śmiertelnie ranny w bitwie z Arabami, idąc na odsiecz władcy Franków, Karolowi Łysemu, ten zapytał go jaką nagrodę chciałby otrzymać za swoje bohaterstwo. Wilfred odparł podobno, że chciałby mieć własne godło. Władca Franków dotknął wtedy jego ran i przesunął zakrwawionymi palcami po złotej tarczy hrabiego, pozostawiając na niej cztery czerwone smugi”¹⁰.

W takich okolicznościach wedle legendy została utworzona flaga, która dziś powiewa na balkonach prywatnych domów czy na budynkach urzędów, a także można oglądać ją przy okazji ważnych dla narodu katalońskiego świąt. Złożona jest z na przemian ułożonych złotych pięciu i

⁵ Ibidem, s. 594.

⁶ http://nadbuhom.free.ngo.pl/art_2115.html, J.E. Wieliński, *Jeden naród - dwie Katalonie* (12.01.2011).

⁷ http://www.szkolnictwo.pl/szukaj,Hymn_Katalonii (19.12.2010); o owym powstaniu wspomina także Ludwik Straszewicz, *Hiszpania*, Warszawa 1982, s. 120.

⁸ http://www.szkolnictwo.pl/szukaj.Hymn_Katalonii – źródło wszystkich wiadomości na temat hymnu Katalonii.

⁹ Wersja katalońska: *Catalunya, triomfant, tornarà a ser rica i plena! Endarrera aquesta gent tan ufana i tan superba! Bon cop de falç! Bon cop de falç, defensors de la terra! Bon cop de falç! Ara és hora, segadors! Ara és hora d'estar alerta! Per quan vingui un altre juny esmolem ben bé les eines! Que tremoli l'enemic en veient la nostra ensenya: com fem caure espigues d'or, quan convé seguem cadenes!*; wersja polska : Katalonia, triumfująca, stanie się znów bogata i szczęśliwa! Przepadną ci ludzie tak butni i tak wyniośli! Żnijmy dobrze! Żnijmy dobrze, obrońcy ziemi! Żnijmy dobrze! Teraz jest czas, żeńcy, teraz jest czas być czujnym! Na nadejście innego czerwca naostrzmy dobrze narzędzia! Niech drży wróg widząc nasz sztandar. Jak sprawiamy, że spadają złote kłosa, tak gdy przyjdzie pora, przetniemy kajdany.

¹⁰ J. Żebrowski, *Czarodziejska Barcelona. Przewodnik*, Warszawa 2010, s. 11-12.

czerwonych czterech pasów, które są poukładane poziomo, a ich barwy podobne są do barw Hiszpanii.

Bardzo ważnym symbolem narodowym Katalończyków jest też benedyktyńskie sanktuarium maryjne Montserrat: „pierwsze wiadomości o istnieniu w owym miejscu kapliczki poświęconej Najświętszej Marii Pannie pochodzą z IX wieku (...) O aktualnym znaczeniu sanktuarium zdecydowało ogłoszenie przez papieża Leona XIII Matki Boskiej z Montserrat patronką Katalonii”¹¹.

Klasztor ten znajduje się 725 metrów nad poziomem morza¹². Otaczają go piękne widoki, które co roku mogą podziwiać tysiące pielgrzymów odwiedzających Montserrat. Klasztor posiada własny chór składający się z około 50 chłopców. Koncertują oni zarówno w sanktuarium, jak i za granicą. Nagrali już ponad 100 albumów. W świątyni panuje atmosfera modlitewna, a gotycka dzwonnica z XIV wieku wzywa na msze¹³. Można tam podziwiać także drewnianą figurę Czarnej Madonny z Montserrat, która powstała prawdopodobnie w drugiej połowie XII wieku. Legenda głosi, iż wyrzeźbił ją święty Łukasz w Jerozolimie, a do Katalonii przywieziona została przez świętego Piotra¹⁴. W 1982 roku papież Jan Paweł II odwiedził Montserrat. W tym klasztorze „za czasów dyktatury generała Franco znajdowała się siedziba opozycji, która drukowała teksty w języku katalońskim, gromadziła dzieła pisane w tym języku, dzieła artystyczne symbolizujące kataloński patriotyzm”¹⁵. Należy przy tym pamiętać, iż Franco zakazał używania języka katalońskiego czy podkreślania tożsamości katalońskiej. Poza tym warto podkreślić, że w języku katalońskim była wydrukowana Biblia Montserrat¹⁶.

Opisując symbole Katalonii, nie można zapominać o bogatej tradycji tego narodu. Tradycyjnym obrzędem jest coroczne układanie dywanów kwiatowych z okazji święta Bożego Ciała. Tradycja owa u swych początków wiązała się z ukrywaniem dziur w ulicy za pomocą płatków kwiatów¹⁷. Nie byłoby błędym stwierdzenie, że komponowanie kwiatowych kobierców jednoczy ludzi, gdyż biorą w nim udział przedstawiciele różnych zawodów i kategorii wiekowych, a „do układania dywanów znakomicie nadają się róże. Jako materiałów używa się zresztą nie tylko płatków lub całych kwiatów, ale również różnych gatunków nasion, owoców i liści”¹⁸. Ich tematyka jest dowolna. Podążając dalej „szlakiem tradycji Katalonii”, warto wspomnieć, iż istnieje kataloński taniec narodowy zwany *sardana*. Tancerze gromadzą się tworząc krąg (może on symbolizować

¹¹ Jan Paweł II, *Dzieła Zebrane. Tom XV*, Kraków 2009, s. 596.

¹² Jordi Molas i Rifà, *Montserrat: official guide*, Barcelona 1998, s. 6.

¹³ Ibidem, s. 19.

¹⁴ <http://myvimu.com/exhibit/2535-czrna-madonna-z-montserrat>; wirtualne muzeum (9.06.2014).

¹⁵ <http://www.echodnia.eu/apps/pbcs.dll/article?AID=/20100624/TURYSTYKA04/734152171>; Hiszpania. Montserrat. Klasztor w górach wyrzeźbionych przez anioły (12.01.2011).

¹⁶ Ibidem.

¹⁷ J. Żebrowski, *Magiczna Katalonia. Przewodnik*, Warszawa 2010, s. 128.

¹⁸ Ibidem, s. 129.

solidarność i więzi międzyludzkie). Wszyscy trzymają się za ręce i wykonują szereg złożonych kroków. Wygląda to, jakby w miejscu stąpali z nogi na nogę. Większość melodii towarzyszących tej folkowej formie tańca pochodzi z XIX wieku. Wielu Katalończyków przyznaje, że nie są fanami sardany, ale jako symbol tożsamości katalońskiej ma ona ogromne znaczenie¹⁹. Tańczy się głównie podczas różnych festiwali i świąt, choć są miejsca, gdzie można ją zaobserwować na co dzień. Na terenie Katalonii ustawionych jest kilka pomników przedstawiających *sardanę*. Najbardziej znany mieści się w Barcelonie, ale podobne znajdują się też w Lloret de Mar i Calleli (tam odbywają się każdego lata kilkudniowe festiwale tego tańca²⁰). Tancerzom akompaniuje tradycyjny kataloński zespół muzyczny zwany *cobla*. „Składa się on z jedenastu muzyków, ich instrumenty to: flet flabiot i bębenek tambori, na których gra ten sam muzyk, dwa tible i dwa tenore”²¹, dwie trąbki, puzon wentylowy, dwa sakshorny²² i kontrabas”²³. Muzyka grana przez ten zespół jest bardzo charakterystyczna dla regionu Katalonii.

Innym tradycyjnym działaniem Katalończyków są budowle z ludzi – *castells*. Ta tradycja została zapoczątkowana w Valls (miejsce związane również z corocznym świętem cebuli²⁴), na południu Katalonii w XVIII wieku²⁵. Zazwyczaj wszyscy współtwórcy wieży są jednakowo ubrani. Budowa uważana jest za zakończoną gdy jej uczestnicy znajdą się na swoim miejscu. Żywe poziomy budowli składają się z ludzi ustawionych zgodnie z posiadaną przez nich siłą fizyczną. Pierwszy poziom (ludzie stojący na podłożu) tworzą najsilniejsi. Na szczyt wieży zazwyczaj wdrapują się dzieci, ostatnie z nich po wejściu na czubek budowli powinno pokazać cztery palce (symbolizujące flagę narodową), aby oznajmić zakończenie budowy. Osoby tworzące kolejne warstwy wspinają się po ludziach stojących w warstwach niższych. Najwyższa budowla liczyła dziesięć pięter²⁶.

Istotnym symbolem tożsamości narodowej Katalończyków jest tak zwany „osioł kataloński”, jego „wizerunek (...) bardzo często gości tam na koszulkach, plakatach, naklejkach na samochody i tym podobne. W taki właśnie sposób Katalończycy znaleźli swoją odpowiedź na hiszpański symbol, jakim jest byk”²⁷. Osioł stanowi „symbol mądrego i spokojnego, lecz upartego dążenia do celu”²⁸.

¹⁹ D. Simonis, *Barcelona Encounter*, London 2009, s. 171.

²⁰ J. Żebrowski, op. cit., s. 123.

²¹ Instrumenty dęte drewniane wywodzące się od szalamai, które z czasem zostały wyparte przez oboje i nadają Cobli charakterystyczne brzmienie.

²² Instrument o niskim dźwięku bardzo podobny do bombardonu.

²³ <http://www.barcelonakg.polemb.net/index.php?document=1002>; Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Barcelonie (19.12.2010).

²⁴ <http://www.firesifestes.com/Fires/F-Calcotada-Valls.htm>; strona poświęcona festiwalowi (19.12.2010).

²⁵ <http://www.catalonianewstate.com/2010/08/castells-human-towers-from-catalonia.html> (20.12.2010).

²⁶ <http://ezoterycznypoznan.pl/news/568/18/CASTELLS-wieze-z-ludzi/> (19.12.2010).

²⁷ <http://konie.zwierzeta-swiata.pl/index.php/osiol-katalonski.htm>; strona zawiera opisy koni (20.12.2010).

²⁸ <http://www.hiszpania24.org/info/katalonia,11.htm>; strona poświęcona regionom Hiszpanii (12.01.2011).

Charakteryzując identyfikację Katalonii nie sposób zapomnieć o jej stolicy, Barcelonie, która przyciąga tysiące turystów rocznie i stanowi centrum kulturalne tego regionu. Różni autorzy podkreślają jej znaczenie dla Katalonii. Mirosław Hroch, autor książki pod tytułem *Małe narody Europy*, określa ją mianem „najważniejszego katalońskiego centrum”²⁹. Znajdują się tam między innymi: Świątynia Pokutna Świętej Rodziny (Sagrada Familia), słynny Park Guell czy warte odwiedzenia w celu poszerzenia wiedzy na temat Katalonii Muzeum Sztuki Katalońskiej. Park Guell położony jest na zboczu tak zwanej Łysej Góry (Mont Pelat). Stworzył go Antonio Gaudi przy pomocy swego mecenasa Eusebiego Guell, a sam „park tonie w zieleni i ma całą Barcelonę u stóp”³⁰. Pierwotnie w jego miejscu miały się znajdować wysokiej klasy domki jednorodzinne, na szczęście do tego nie doprowadzono i turyści mogą dziś podziwiać wspaniałości architektury, choć „największe zainteresowanie wzbudzają kolorowe ceramiczne mozaiki ułożone na długiej wijącej się jak wąż ławce (...)”³¹. Dogłębnego opisu uczuć, jakie wzbudza w zwiedzających go turystach, trudno doszukać się w jakimkolwiek opracowaniu. Innym (największym) dziełem Gaudiego jest Sagrada Familia. Gaudi był kontynuatorem projektu tej fascynującej budowli, w pracy nad nią zajął miejsce poprzedniego architekta Francisco de Paula del Villar. Jednak „gdy Gaudi przejął od poprzednika projekt Bazyliki Pokutnej Świętej Rodziny, była ona najzwyczajszym kościołem neogotyckim, z prostopadłościenną wieżą, jakich mało”³². To Antonio doprowadził ją do późniejszej świetności. Fundusze na jej budowę pochodzą z datków. Gaudi nie doczekał się ukończenia prac budowlanych prowadzonych przy powstającej bazylice, gdyż budowa trwa do dziś. Projekt obejmuje osiemnaście strzelistych wież o różnej wysokości. Zakończenie prac szacuje się na rok 2026. Jednak katedra została już wpisana na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO³³. Fakt ten z pewnością jednoznacznie świadczy o jej klasie i świetności. Do innych dzieł Gaudiego należą chociażby Casa Mila czy Casa Batllo. Twórczość tego artysty jest bardzo ważna dla Katalończyków, gdyż „przemycił” do niej symbole ich tożsamości narodowej, a „inspirował go epos katalońskiego poety Jacinta Verdaguera L’Atlantida, w którym Herkules walczy ze smokiem. Również ze smokiem zmagał się patron Katalonii – święty Jerzy. To łatwa do uchwycenia metafora zwycięstwa dobra nad złem i dążenia do wolności”³⁴. Wizerunki smoka można spotkać na przykład w Parku Guell czy Casa Batllo.

Wizerunek Katalonii tworzony jest też poprzez osobowości jej mieszkańców. Podstawę ich jestestwa stanowi silne poczucie tożsamości narodowej, odrębności i patriotyzmu. Są bardzo

²⁹ M. Hroch, *Małe narody Europy*, Wrocław 2003, s. 59.

³⁰ Ibidem, s. 33.

³¹ T.J. Crauhgwell, *Wielka księga sztuki*, Warszawa 2010, s. 384.

³² A. Janowska, *Katalońska królowa*, [w:] „Magazyn o podróżach Voyage”, 2010, nr 10, s. 37.

³³ <http://www.sagradafamilia.pl>; portal poświęcony Katedrze Sagrada Familia (12.01.2011).

³⁴ A. Janowska, op. cit., s. 37.

przywiązani do swego narodu. Można przekonać się o tym analizując chociażby artykuł Daniela Passenta, dziennikarza gazety „Polityka”, który w wyrazistym tekście pod tytułem *Tu mówi Katalonia* umieścił wywiady przeprowadzane ze znanymi Katalończykami. Najpopularniejsza dziennikarka katalońska telewizji TV3 stwierdziła: „urodziłam się w Barcelonie i to mnie określa. Nie jestem dziennikarką hiszpańską – jestem dziennikarką katalońską. Gdyby jakieś większe medium hiszpańskie zaproponowało mi pracę, prawdopodobnie bym odmówiła. Tu jestem bardziej pożyteczna”. Natomiast Sebastian Serrano, profesor uniwersytetów w Madrycie i Barcelonie, ubolewa, że „państwo nigdy nie uznało kultury katalońskiej za swoją. Dla Hiszpanii kulturą państwa jest kultura hiszpańska”.

Warto przytoczyć również słowa poety katalońskiego, Francisco Parcerisas Vazquez, który dostrzegając przez siebie sytuację określa następująco: „Katalończycy czują się niezrozumiani. Kiedy rozmawiają po katalońsku, Hiszpan myśli, że robią mu na złość. Gdy mówię i piszę po katalońsku, pytają, dlaczego nie po hiszpańsku (...) Cudzoziemcowi łatwiej zrozumieć sytuację Katalończyków, jeśli porównamy siebie do Żydów. Jesteśmy podobni, ponieważ przegraliśmy, ale mamy rację. Jesteśmy podobni ponieważ historia nie opowiadała się po naszej stronie, ale prawda – tak”. Swoje rozważania kończy on wyrażając przekonanie o niezmienności przekonań katalońskich, głoszonych przez nich prawd³⁵.

Do innych cech charakterologicznych Katalończyków należy na przykład ich pracowitość, oni „żyją żeby pracować, a nie tak, jak reszta, pracują, żeby żyć”³⁶. Poza tym, słyną ze swego skąpstwa. Hiszpanie układają setki dowcipów opowiadających o przywiązaniu Katalończyków do pieniędzy³⁷. Wzmacnia to negatywne relacje między Katalończykami i Hiszpanami i jeśli zapyta się Katalończyków o ich przynależność narodową, na pewno nie odpowiedzą, że są Hiszpanami. Żaden nie wyrzeknie się narodowości katalońskiej. Można dodać, że Hiszpanie określają ich jako : *los polacos* czyli „Polaków”³⁸. Wiąże się to z brakiem zrozumienia przez Hiszpanów (na co dzień posługujących się językiem kastylijskim) języka katalońskiego. Jest on dla nich abstrakcyjny, podobnie jak język polski.

* * *

³⁵ D. Passent, *Tu mówi Katalonia*, „Polityka”, 2006, nr 21, s. 54-58.

³⁶ A. Janowska, op. cit., s. 33.

³⁷ Wybrane dowcipy: podczas gdy Katalończyk zdiera tapetę ze ścian, odwiedza go przyjaciel. Zdziwiony pyta – robisz remont?? Na to Katalończyk odpowiada – nie, przeprowadzam się; Co robi Katalończyk kiedy w jego domu jest zimno? – siada przy grzejniku – A co robi kiedy w domu jest bardzo zimno? – włącza go.

³⁸ J. Żebrowski, op. cit., s. 131.